

Dwugłos miłości



ALEKSANDER ŚWIĘTOCHOWSKI

Dwugłos miłości

Rojowisko istot pożądlivością wielkich a mocą małych coraz gwałtowniej zaczęło się zwiercać, kłębić i zagryzać, jak gdyby w obawie, ażeby kulista bryła, która je niosła po przestrzeni, nie uderzyła się o zawadę i nie zrzuciła słabo przyczepionych do niej siłą ciężenia w bezdenną otchłań świata. Czasem w przerwach szumu złowrogich szeptów, z wycia dzikich głosów i krzyku zuchwałej głupoty wydobywał się nieśmiało lękliwy ton szczerzej miłości, skromnego rozumu lub bolesnego jęku; ale wkrótce tonął, jak woń polnych kwiatów w śwędach pobojuwiska, jak świergot zieb we wrzasku kruków. Chór ziemi był hymnem zwycięskiego gwałtu; jej chwałę jadowite języki wybijały w krwiożerczych paszczach, jak żelazne serca chwałę nieba w dzwonach.

*

Mroki opadały na nią warstwami coraz gęstszymi. Poprzedziły one i zwiastowały Noc, która wkrótce zasiadła na tronie z krzysztalów lodu, wysłanym skórkami nietoperzów i obitym na krawędziach żrenicami bazyliżków. Unosiły go na swych grzbietach dwie leżące hyeny, za podnoże służył mu zwinięty szakał, a u wierzchu tylnego oparcia kołysał się leniwie zamysłony sęp. Władczyni trzymała w jednej ręce miecz, a w drugiej krzyż opleciony ogonem żywego węża, który wsunawszy się połową przez ranę boku rozpiętego Chrystusa, przez boleśnie otwarte jego usta wysuwał swoje żądło. Groźna i ponura jej twarz ujęta była w ramy długich, prostych włosów; nad czołem błyszczał wąski łuk księżycy, a po szacie z kruczych piór rozsypały się drobne gwiazdki. Przed tronem na ołtarzu ze spróchniałych serc, w wydrążonych czaszkach ludzkich paliły się kadzidła, których gęste i ciężkie dymy rozwieszały swe kłęby na wyparach szerokiego bagniska, migającego niezliczonymi płomykami błędnych ogników.

Zaledwie Noc usiadła, upiory jej orszaku, zgasiwszy ostatni promień słońca, zdjęły z ramion swej pani długi czarny płaszcz i rzuciły wichrom, które w tej chwili nadbiegły. Pochwyciły go one, z szumem szerokich skrzydeł uniosły i rozpostarły po niebie. Na tle tego kiru mocniejszym blaskiem odbiły się gwiazdy jej szaty i ogniki otaczającego ją trzęsawiska. Były to jedyne światła w tej ciemności. Wywabione niemi ze swych jam, szczelin i rumowisk przypęłzały lub przyskoczyły przed tron Nocy różne potwory ziemi. Sycząc, piszcząc, skrzecząc, mówiąc grzechotliwym i rozdźwięcznym chórem, zaczęły błagać ją o miłosierdzie i łaskę.

— Władczyni potężna, opiekunko słabych i ułomnych, zlituj się nad nami, niemogącymi znieść jasności i żyć w niej bezpiecznie. Pod twoją jedynie osłoną opuszczamy nasze legowiska i spożywamy resztki płodów ziemi, niedojedzone i porzucone przez twory, których oczy nie mrużą się w świetle. Dobroczynna i sprawiedliwa pani, zedrzyj z niebios oślepiającą nas tarczę, zdmuchnij przekłętą pochodnię dnia, zamknij okno świata przed słońcem, które nas razi, w nory i dziuple zapędza, prześladowcom ukazuje. Niech od ściany do ściany przestrzeni rozścielą się zmierzchy i rozepną czarne smugi, niech na żadnym skrawku ziemi nie będzie widniej, niż na dnie morza, niech wieczna ciemność ściera wszystkie barwy, niech nawet śniegi pomracza.

— Czarodziejko, połóż swe chłodne palce na powiekach oczu z małemi żrenicami i zamknij je snem mocnym. Zawrzyj usta wymowne albo uchyl je tyle jedynie, ile potrzeba do wciągnięcia powietrza płucom, do przepuszczenia lekkich westchnień i chrapliwych oddechów. Nakaż milczenie głosom donośnym i dźwiękom śpiewnym, niech natomiast

odezwą się swobodnie i słyszane będą nasze stłumione szepty i krótkie poświsty. Otul świat ciszą, dozwól ją tylko zakłócać szmerom i na chwilę rozdzierać żywiołom natury. Dzieci twoje, zagłuszone gwarem życia, stoją pośród niego nieme. Ani drżenie pyłków ostu, ani syk żmii, ani sapanie sowy, ani chrząkanie kreta, ani żalosna trąbka komara, ani grzechotka żaby — żaden ton z symfonii, na cześć twoją od wieków granej, nie zdoła się przebić przez muzykę orkiestry dnia. Spraw, wszechmocna, ażeby pierś ziemi nie brzmiała głośniejsz, niż wnętrze grobu, w którym szeleszczą drobne robaczki i odbijają się echa gniewów bożych. Niech Bóg tylko ma prawo w naturze huczeć gromem, jak on jeden ma prawo świecić błyskawicą.

— Rodzicielko spokoju, powstrzymaj lub osłab ruch życia, który nas chłonie i dławia. Nie możemy ani zdążyć w wyścigu stworzeń zuchwałych, ani mu drogi zagrozić nieprzebytą górą. Szalone wiry kręcą nas w swych kołowrotach i przerzucają sobie wzajemnie, gwałtowne prądy rozmiatają nas i pędzą w dal, jak tuman kurzu. Podczas gdy my pelzamy, przelatuje po naszych ciałach i rozgniatą je gromada nieokiełzanych bestyj, goniących marę zdrożnego szczęścia. Matko najdobrotliwsza, niech tętno ziemi zwolnieje, niech Bóg tylko wypuszcza na nią z chmur swe huragany, ale niech jej twory nie idą z nimi w zawody. Spokoju granitowych skał, spokoju zmarłych oceanów, spokoju pustyni piaszczystych — bądź błogosławiony!

Noc dała znak łaski pochyloną głową, za który rzesza, zgromadzona przed jej tronem, podziękowała przeciągłym wybuchem pisków, skowyczeń, ryków, który aż odbił się o strop niebios. Ciemność tak zsiadła się, że w niej znikła postać władczyni, jej tron wraz z godłami i orszakiem, nawet jej sierp księżycy, gwiazdki jej szaty i błędne ogniki. Najbardziej rozszerzone źrenice nie mogły dojrzeć niczego. Słyszać było tylko trzepotanie skrzydeł, tarcie wijących się ciał, ciężkie podskoki lub złośliwe warknięcia.

Nagle, ponad tem zbiorowiskiem, jak iskierka w czarnym węglu, zaświecił w mroku maleńki robaczek, który płynął na spokojnych falach powietrza. Natychmiast prześlizgnął się po ciszy syk, gruchnęły pomruki, wreszcie odezwały się wycia, powstał zgielk, gonitwa — i biedny robaczek w jakiejś paszczy zginął. Teraz i on, choć również gwiazdka Nocy, w jej płaszczu błyszczeć nie mógł.

Rozdrażnione walką o ten drobny łup, a głodne drapieżce zaczęły coraz głośniejsz szczyrzyć ku sobie jadowite i ostre zęby. Tu i ówdzie szarpnięty i zraniony odskomlił krzywdę lub pomścił ją na innym, tu i ówdzie wpadł w ciszę krótko ucięty śmiertelnem uderzeniem krzyk. Napaści stawały się coraz częstsze, a ich odpory — rozpaczliwsze. Ziemia po kilkakroć zastękała boleśnie.

Sen jej dzieci był ciężki i dręczący. Niektóre z nich opuściły swe łoża i nieobudzone wyszły na pola, przesuwaly się wolno wśród drzew leśnych lub stawały zadumane nad krawędziami obrywów przepaścistych. Gdy do uszu ich dobiegł odgłos zajadłej walki, cofały się instynktownie i przerażone przyspieszały kroku w stronę przeciwną. Gdzieś niedługo błysnął kaganek w ręku istoty, od której sen pierzchnął i którą echa krwawych zapasów wyploszły z noclegu. Ale wkrótce wzbijał się wokoło niej zmieszany z różnych wrzasków zgielk, wśród którego gasły owe płomyki, a na ich miejscu tryskał głęboki jęk.

I ziemia brzmiała hymnem zwycięskiego gwałtu.

*

Ciemność nie pruća się, a całun nocy wciąż wisiał rozpięty na obłokach. Powoli wiatr zaczął je kołysać, faldować, zganiać i rozpędzać, spajać i szarpać, zwijać i rozciągać na frendzle. Kilka kłaków czarnych oddarł od stropu i cisnął, a odsłoniwszy płyty jasności, zleciał na ziemię, skręcił z liści i piasku słup tańczący i obniósłszy go po polach, rozdmuchnął. Tymczasem u sklepienia nieba nabrzmiała ciężka, czarna chmura, w której łonie odzywały się głuche grzmoty. Przewalała ona ciągle swe olbrzymie kłęby, leniwa a niespokojna, ślepa a groźna. Nie otworzyła oczu, nie błysnęła ani jednym promieniem gniewu, wywinęła jedynie swe wielkie cielsko, a przecież, chociaż zdawała się zasypiać, zionęła walką, bo drżała burzą. Jej złowrogie turkoty rozlegały się długo i coraz głośniejsz. Nareszcie zaryczała wstrząsającym, przeciągłym hukiem i wylała na ziemię potoki deszczu które od ziemi do nieba przeciągnęły się lasem strun płynnych. Wszystkie twory nocy

wsunęły się do swych schronisk. Na otwartej ziemi pozostało tylko to, co do niej przyrośło. Nawet wiatr wskoczył na wierzchołki drzew i uciekł z nich w obłoki, które objęły świat ciemno-szarą pokrywą. Burza pienila się.

Wkrótce strumienie deszczu pozaciekały we wszystkie szpary, ponapełniały każde wgłębienie, każde wydrążenie ziemi, która wygładziwszy swe dołki, bruzdy i zmarszczki, zaszklila się gładką powierzchnią. Nawet cienkie wężyki potoków, wijące się w głębokich rowach, nabrzmiały aż do brzegów, a na skrętach i spadkach najeżyły swe płowe, szumiące grzywy.

Wreszcie woda, buchająca z chmury, zaczęła podrywać lepianki i domy. Przerażeni ich mieszkańcy wybiegli pół-nadzy, z nieprzetartym snem na oczach, wśród szumu, plusku i ciemności tułali się bez drogi i celu, uciekając od śladów, które za sobą odcisnęli i które woda zalewała. Ogólna trwoga oswoiła i zubożyła wzajemnie wszystkich. Jagnię ocierało się o lwa, zbrodniarz szedł obok męczennika, ładaczka — obok siostry miłosierdzia. Z najrozmaitszych istot tworzyły się i rozpręgały przypadkowe grupy. Nikt nie wiedział, dokąd dąży. Burza spastwiwszy się nad ziemią, nieco ochłonęła. Przestała przynajmniej płuć spienioną ulewą, chociaż nie ściągnęła z niebios ponurej opony, za którą grzmiały ciągle jej groźby.

*

Nad wyniosłem urwiskiem, pod którym przebiegały rozczochrane fale, stał mężczyzna młody w bluzie, przepasanej sznurem. Szerokie wyloty głęboko obnażyły mu ręce, a odwinęty kołnierz — szyję, na której odchyliła się bladą twarzą ku niebu nieruchoma głowa. Usta miał nieco otwarte i gorączkowym oddechem przypalone, nozdrza mu drgały, brwi ssunęły się surowo nad oczami, w których odbijała się luna dogasającego pożaru duszy. Czoło jego lśniło się taką białością, że go mroki przyćmić nie mogły.

Stał długo niemy, wreszcie szepnął cicho:

— Czy prócz ziemi niema w przestrzeni innego przytułku dla człowieka?...

Opuścił głowę, powiódł znużonym wzrokiem w około siebie i zatrzymał go na jakimś białym owalu ludzkiej twarzy, którego cienie nocy również zatrzeć nie zdołały.

Błyskawica zygakiem rozpruła chmurę i rozjaśniła cały widnokrąg.

Przy jej świetle mężczyzna ujrzał nieopodal młodą kobietę, siedzącą na odłamie skały, z zaplecionymi rękami patrzącą w nurt potoku, który kipiał pod jej stopami. Smukłą kibić otulała biała tunika, zaginająca się wdzięcznie po łukach jej ciała, które z pod osłony przebijało się całym bogactwem swych kształtów i linii. Bujne piersi falowały lekkim ruchem, włosy rozbiegły się w puklach po szyi i muskały ją łagodnie. Nad twarzą tak przecudnego wykroju, jaki tylko geniusz wyrysować a natura stworzyć zdolna, pastwił się okrutny smutek, który skamienił jej oczy w dwa martwe szafiry, niełamiące promieni stłumionego życia. Czy pożądliwy nurt wabił ją w swe zimne objęcia?

Gdy przy ogniu błyskawicy dostrzegła mężczyznę, w oczach jej zamigotał lotny uśmiech. Wstała i podeszła ku niemu.

— Urokiem padłeś mi w serce — rzekła do niego — pozwól mi zginąć i żyć z tobą.

— Kto jesteś piękna?

— Kobieta, którą wicher oderwał od ziemi i miota po niej.

— On panuje nad nami, a ślubów nie daje zakochanym, lecz łączy przypadkiem tych, których razem w dłoń swą pochwyty i zgniecie lub rzuci.

— Mylisz się, on tylko jednej miłości potargać nie może. Czyś jej jarzących się węzłów nie widział na tle tej czarnej otchłani, w którą wzrok ciskałeś?

— Alboż mnie kochasz?

— Marzenia moje dawno cię znają; dotknij ręki mojej, ażebym była pewną, że nie jesteś snem rozwiewnym, lecz urzeczywistnionym.

Ujął ją za rękę i wpatrzył się w jej twarz natchnioną, w której oczy zapalem gorzeć zaczęły.

W tej chwili burza z ogłuszającym hukiem strzeliła błyskawicą, która, połamawszy się jak szeroki pas złotolity, jednym końcem zaczepiona o niebo, drugim uwięzła w ziemi pod stopami owej ludzkiej pary i zeszytywniała w powietrzu, tworząc taśmę stromej i krętej ścieżki. Płaszcz nocy spręgowała ona jasnemi smugami, a wzdłuż spodu tej napowietrznej

drogi stanęły w czarnej otchłani przezroczyście słupy, które ją podparły niby szeregiem świetlnych kolumn.

— Słyszałam twoje słowa obrzydzenia dla ziemi — rzekła kobieta — opuść ją i wstąp ze mną na ten szlak błyskawiczny. Może jakaś dobra siła naprzekór złej umocowała piorun w przestrzeni, ażebyśmy po jego stopniach wzniesli się nad gniazdo niecznych żądz ludzkich do innego świata, gdzie noc tronu swego nie zastawia i opon nie rozściela, gdzie słońce we wszystkich duszach się przegląda.

— Usta twe otwierają się ku mnie jak kielich kwiatu woniejący pokusą, a wyrazy zlatują z nich jak tęczowe motyle i osiadają mi na sercu. Czy ta urna popiołów, którą w sobie noszę, miałyby zapalić się ogniem twoich czarownych spojrzeń? Nie uwódź mnie, jeśli chcesz jedynie prześlizgnąć się po moim ciele, jak deszcz rozkoszny a niezdrowy.

— Nie wahaj się, skoro nie zostawiasz za sobą nic, czegobyś nie oddał za to, co cię spotkać może, skoro tylko rozpacz przycisnęła cię do swego łona i karmi gorzką piersią.

Weszli na świecąca drogę i zaczęli w milczeniu posuwać się ku górze. Mężczyzna przystanął — kobieta zapytała:

— Zmęczylesz się, czy żałujesz ziemi, od której cię odwiodłam?

— Pająk na nitce swej wątłej siatki mógłby mnie od niej odciągnąć, gdybym wierzył, że gdzieindziej znajdę ukojenie dręczących smutków. Szczęśliwy leży tam kamieniem, nieszczęśliwy — puchem, zawsze gotowym do odlotu, byle z nadzieją. Dusza moja rozbiera się teraz z chłódów ziemskich, jak z wilgotnych szat i przywdziewa ciepłą mgłę upojenia. Stąpam w miękkim obłoku, oddycham spokojem, jest mi lepiej — dobrze... błogosławić cię będę ostatnim wyrazem warg moich, jeśli uprowadzisz mnie z tego pola walki, gdzie zwycięski występek naigrawa się konającej cnocie.

Kobieta oparła rękę na ramieniu mężczyzny i pieściła jego uszy czułą mową.

— Wierz mi, jak wierzysz swym najszczęśliwszym uczuciom. Pokochałam w tobie wszystko a nie najmniej boleść pokrewną mojej. Gdybym mogła, pozbierałabym rozproszone po ścierniskach życia krople skrzepłych łez twoich, nanizala je na promień słońca i zawiesiła je sobie na szyi. Ta rosa twego serca powinna była padać na pierś moją.

— Zamieniłaby się ona w korale, tak była krwawa. Jeśli cierpienia człowieka są przejawami jakiejś jednej siły, to chyba los dla dogodzenia swemu okrucieństwu kradnie naturze najwrażliwsze dzieci i pastwi się nad nimi. Przyrzeka im wszystko, a gdy na jego obietnicy oprą swoje życie — odmawia wszystkiego. Ledwie ukończyłem lata młodości — a już dusza moja jest schnącym, bezlistnym drzewem, które nie przetrwa zimy i nie doczeka wiosny. Obejrź się ze mną albo tylko sięgnij uchem w tę czarną przepaść, na której dnie leży ziemia. Czy słyszysz szum mętny, czy odróżniasz w nim głosy błagalne, tryumfujące, rozpaczliwe? Czy wiesz, w jaką ogólną harmonię one się stroją?

— Uciekajmy!

— Nie śpiesz się.

— Uciekajmy, bo może stamtąd wleczą i dogonią nas fury, które ściagały moje ciało na łup dla rozpusty, obsypując zdradliwie iskrami namiętności.

— Nie — bezpieczna poza okółem zwierzęcych ścigań, wsłuchaj się spokojnie w tę harmonię zgrzytów. Dotąd ją tylko czulaś, teraz o niej pomyśl. Czy wiesz czemu ona tak dzika, wściekła, ohydna? Bo za słabo brzmi w niej dźwięk, którego ty daremnie szukałaś i ja nie znalazłem.

— Odsuńmy się jeszcze dalej od ziemi, która nas jak przepaść ciągnie

Zaledwie uszli kilka kroków mężczyzna znów zatrzymał się i mówił:

— Zagadki poznania każdy otwiera innym kluczem, ze skarbca tajemnic każdy wykrada inną prawdę, którą uważa za nieomylną busolę i chce nią wyznaczać kierunek wszystkim. Gdy za nim nie podążą i ze swoimi wskaźnikami w różne strony się rozbiegą, on ich dopędza i chłoczce zlorzeczeniem; gdy jego przewodnictwu się powierzą, prowadzi ich dłużej lub krócej, wreszcie ustaje zmęczony błędzeniem i radzi, ażeby towarzysze zaufali własnym przecuciom. Wiedza człowieka uszlachetnia i obdarza siłą, wiedza ludzi zbliża wzajemnie, ale ich trwale nie spaja mocnymi ogniwami. Nad ludzkością, jak nad jej siedzibą zatoczył się krąg ciemnoty, który niby rzeszotem zasłania nam słońce prawdy; przepuszcza on tylko przez niezliczone dziurki pojedyncze jej promienie, w których zawieszamy się i drgamy jak luźne pyłki. A i ciebie czy pokrewna wiedza ku mnie popchnęła?

— Nie.

— I nie religia, bo nawet żaden Bóg, czczony kornie przez swych wiernych, nie zdołał ich zjednoczyć. Ludzie, którzy wierzą w tego samego stwórcę i rządzcę świata, którzy modlą się w tych samych świątyniach, wyznają te same dogmaty — albo żyją obok siebie zdaleka jak głazy na polu, które można jedne drugimi rozbijać, albo jak rozżarte tygrysy wbijają sobie kły w gardła a pazury w piersi. Stań ponad gromadą, klęczącą przed ołtarzem i skupioną w pobożnym uniesieniu, spuść w nią odłamek cennego kruszcu — jeśli uboga, lub kawałek chleba — jeśli głodna, a zewrze się gwałtownie około ponęty, stłoczy nad nią swe głowy, zmota ręce, zaskrzypi chciwością i huknie gniewem, wyrzucając z siebie zwycięzcę. Wiążące ją łączniki wspólnej wiary prysną wtedy jak szklane pętliszki. Wiary zupełnie jednakiej, gdyż najśłabszy w niej odcień różnicy wystarczy, ażeby ci, którzy uznają nad sobą tego samego Boga, mordowali się i zawieszali jako wota w przybytkach jego chwały, zdarte z nienawistnych czaszek skóry. Daremnie religia wmawia w człowieka, że każdy bliźni jest jego bratem, on, zaprzysięgając to powinowactwo słowem, łamie czynem. Słuchaj — czy rozeznajesz w hałaśliwej zawierusze głosów ziemi dwa ich aż do nas tu bijące prądy? To Nowy zakon walczy ze Starym, jak syn z ojcem, którego pragnie wywłaszczyć i z żebraczym kijem na rozstajne drogi wypędzić. Tam znowu na ciele ludzkości jątrzy się druga rana, tam — trzecia, tam — czwarta, tam piąta i setna, a wszystkie fanatyzm rozpalonym hakiem rozkrwawia, gdy zaczynają się zabliźniać.

Powiedz, może dojrzałaś lub przeczułaś we mnie współwyznawcę swej wiary? Może mniemasz, że oddam pokłon twojemu bóstwu, a ty mnie za to sercem wynagrodzisz?

— Nie.

— I prawo ludzi rozgradza, ale ich nie łączy. Sypie ono tylko groble i wały, stawia płoty i parkany, tworzy klatki i wędzidla. Ubezpiecza człowieka, daje mu broń, okrywa go pancernem, uzbraja do walki, ale uczucia z uczuciem nie skleja. Nie dokona tego również moralność całym przyborem hamulców. Gdy dobroczyńca przychodzi do nędzarza, nie mówi: wesprę cię, nakarmię, okryję, bo to moja powinność, ale powiada: wspieram cię, bo budzisz we mnie miłosierdzie. Czy wszakże nawet to miłosierdzie jest magnesem siły działającej trwale? Wysycha szybko jak łza na rzęsach powieki. Zresztą choć szata sprawiedliwości jest piękną, występki obcinają jej poły i kroją sobie z nich lamowania i ozdoby dla zbójceckich burek. Temida ledwie ma czem okryć swą nagość, niedługo zostanie jej tylko przepaska na oczach. Gdy i tę zedrze jej niecnota, biedna bogini będzie musiała zamknąć oczy na zdrożności spełniane pod jej wezwaniem. Z miecza jej porobiono zdradzieckie sztylety a z wag miseczek do mieszania żerów samolubstwa. Tak, towarzysko moja, moralność najwyższem natężeniem swej mocy zdolna jedynie utrzymać ludzi w zgodzie, a przy niemocy — dostarczyć im zaledwie masek obłudy. Czy ona kazała ci ujść ze mną?.

— Nie.

— Patrz, na ziemi zamigotały pożary, kto wskakuje w ogień płonących domów na ratunek śpiącym? Mądrzy, religijni, prawi, moralni? Tylko kochający rodzice narażają swe życie dla dzieci, dzieci dla rodziców, oblubieńcy dla oblubienic, małżonkowie dla małżonek, przyjaciele dla przyjaciół — reszta rozumnych i głupich, nabożnych i bezbożnych, uczciwych i podłych tłumem otacza ognisko i przygląda się ciekawemu widokowi. Świat jest obciążony całunem nocy, skotłowany burzą i odmętym zwaśnionych żywiołów; jeżeli kto w nim ocali siebie lub kogoś — to tylko przez miłość. Tak wszystkie inne liny przy nawie życia popękały lub spętały się w wichrach, że ta jedna trzyma jeszcze żagiel. Byłem nieszczęśliwy osamotnieniem wśród ludzkiego rojowiska, czekałem tylko, kiedy mi rozpacz wyleje z kielicha napój gorzki, napełni go trującym i poda do ust, ażeby wypić toast śmierci. Tyś mnie wskrzesała słowem, które brzęczało często koło moich uszu, ale nie zagrało nigdy w mej piersi pieśnią zmartwychwstania. Kochasz więc?

— Z serca mojego krew ustąpiła, ażebyś je zajął całe. Kochanku drogi, nie zechciej go opuścić, bo ono już przyrosło do ciebie. Odurzona rozkoszą, mdlejąc w marzeniu, którego czary rozplywają mi się po żyłach. Szłam za tobą długo przez pustynie, przez moczary i skały, przez zasadzki i skryte sidła, nie pokrzepiając się niczem, prócz nadziei, że cię kiedyś ramionami moimi oplotę...

Zawisła mu na szyi. W długim uścisku dusze ich wsączały w siebie pocałunkami czysty zdrój uczuć i posyłały w ciszę podniebną szept dwugłosu miłości.

Tymczasem słupy pod świetlaną drogą czarny mrok zgarnął, jej szlak, zwięzając się i kurcząc powoli, stopniał w ciemności, pozostawiwszy tyle jedynie blasku, ile potrzeba było do jasnego odbicia uniesionych nad ziemią kochanków.

Wkrótce burza, owinąwszy ich lekkim oddechem, cisnęła w wir ziemi, w którym dotąd krążyła.

*

Gdy noc rozepnie nad światem swój czarny baldachim i zasiądzie na tronie, gdy zgasną światła, zamilkną uczciwe głosy i ustanie ruch, gdy drapieżne instynkty rozpoczną pogoń i walkę, smutni i zrozpaczeni błyskawicznym szlakiem uchodzą w krainę napowietrzną, gdzie ratują się ślubami miłości.

Wszystkie zasoby Wolnych Lektur możesz swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać pod warunkiem zachowania warunków licencji i zgodnie z *Zasadami wykorzystania Wolnych Lektur*.

Ten utwór jest w domenie publicznej.

Wszystkie materiały dodatkowe (przypisy, motywy literackie) są udostępnione na *Licencji Wolnej Sztuki 1.3*.

Fundacja Wolne Lektury zastrzega sobie prawa do wydania krytycznego zgodnie z art. Art.99(2) Ustawy o prawach autorskich i prawach pokrewnych. Wykorzystując zasoby z Wolnych Lektur, należy pamiętać o zapisach licencji oraz zasadach, które spisaliśmy w *Zasadach wykorzystania Wolnych Lektur*. Zapoznaj się z nimi, zanim udostępnisz dalej nasze książki.

E-book można pobrać ze strony: <http://wolnelektury.pl/katalog/lektura/dwuglos-milosci/>

Tekst opracowany na podstawie: Aleksander Świętochowski, *Bajki* [Pisma, T. III], G. Gebethner i Spółka, Kraków [1897].

Wydawca: Fundacja Nowoczesna Polska

Publikacja zrealizowana w ramach projektu Wolne Lektury (<http://wolnelektury.pl>) na podstawie tekstu dostępnego w serwisie Wikiźródła (<http://pl.wikisource.org>). Redakcję techniczną wykonał Wojciech Kotwica, natomiast korektę utworu ze źródłem wikiskrybowie w ramach projektu Wikiźródła. Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego.

ISBN 978-83-288-0829-4

Wesprzyj Wolne Lektury!

Wolne Lektury to projekt fundacji Wolne Lektury – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

Jak możesz pomóc?

Przekaż 1,5% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Wolne Lektury, KRS 0000070056.

Wspieraj Wolne Lektury i pomóż nam rozwijać bibliotekę.

Przekaż darowiznę na konto: [szczegóły na stronie Fundacji](#).